Naści maści na boleści

– No dobra – powiedziała Pola. – Jak będziemy tak stać, to nic nie wymyślimy. Zanieśmy tę maść, a potem… No, potem.

– A ja bym wziął próbkę – bąknął Franek. – Tak trochę.

Pola odkręciła wieczko. Cudownej maści było naprawdę sporo.

– Tylko do czego to damy? – zapytała Mariola.

Maciek wyjął z kieszeni kawałek kartki.

– Na papierek – zaproponował.

– Papierkiem to sobie możesz… – warknął Franek. – Jakieś naczynko…

– Krwionośne – pisnął rozbawiony Miki.

– Zaczekajcie.

Dorota zajrzała do kolorowej nerki, z którą się nie rozstawała.

– O. Jak wywalę ten cień do powiek, to mamy pojemniczek – uśmiechnęła się. – No co, i tak go nie używam. To pamiątka po Justynie.

Poczułem się głupio, bo wszyscy nagle spojrzeli na mnie. Ponuro i współczująco. I oczywiście musiała to zauważyć Pola. Nie była idiotką.

– To jakaś historia z przeszłości? – zapytała łagodnie.

Pokiwałem głową, bo co mogłem powiedzieć. Bohater książki lub filmu pewnie rzuciłby tekstem w stylu „ale z tobą to coś zupełnie innego”. Tylko że po wielkiej klapie Wielkiej Ściemy chciałem być już tylko sobą. To wychodziło mi najlepiej.

Franek znalazł w kieszeni plastikową szpatułkę do lodów – nawet pamiętałem, skąd ją miał, bo kiedy trzy dni temu pojechaliśmy do miasta, każdy kupił sobie lody w kubku – i włożył odrobinę maści do pudełeczka.

A wszystkiemu przyglądała się figura i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że uśmiech na jej kamiennej twarzy był taki trochę… ironiczny.

– To musi być jakiś naturalny olej – myślała głośno Pola. – Dorota, może twoja prababcia coś wie?

– Można zapytać.

– No to zapytasz – orzekł Maciek. – Moglibyśmy jej to pokazać.

– Możemy.

Wielka Wiola ogromnie się ucieszyła, że maść babci Janiakowej dotarła do niej tak szybko, wręcz w błyskawicznym tempie. Zabrała słoiczek do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

– Ale grzeje… – dobiegło do naszych uszu. – A zapach… odlot.

Poczułem, jak po plecach przeszedł mi dreszcz. Gdyby to nie był XXI wiek i gdybym twardo nie stąpał po ziemi, gotów byłbym pomyśleć, że Wielka Wiola sposobi się do lotu na Łysą Górę.

Kiedy wyszła z łazienki, na jej twarzy gościł błogi wyraz.

– Nie wiem, co tam jest – postukała w słoiczek – ale naprawdę działa.

– To dobrze – uśmiechnęła się Mariola. – Tak miało być.

– Medycyna naturalna – oświadczyła Wielka Wiola – to jest coś, do czego powinna wrócić ludzkość. Ale oczywiście najłatwiej jest pójść do apteki. Wyobraźcie sobie, że dostałam do oprawy bardzo stary zielnik, który na marginesach ma różne ciekawe uwagi.

– Jakie? – zapytałem.

– Dotyczące ziół – wyjaśniła. – Na co się je stosuje. Taka interesująca, rzadka pozycja. Biały kruk. Nawet chciałam ją kupić… ale nie, nie sprzeda.

– Kto taki?

– Pewien farmaceuta z miasta.

– Pewnie aby nie ujrzała światła dziennego – zauważyła inteligentnie Dorota.

Wielka Wiola westchnęła. Dla niej, pomyślałem, zielnik przedstawiał wartość kolekcjonerską i z pewnością nie miała zamiaru zabrać się za produkcję domowych medykamentów.

– A możemy zobaczyć ten zielnik? – zapytałem.

– Oczywiście. Tylko ostrożnie…

W pracowni Wielkiej Wioli pachniało trochę kurzem, trochę klejem, a trochę jakimiś odczynnikami. Na stole obitym ciemnozielonym aksamitem leżały luźne kartki, na których widniały misterne rysunki ziół wszelakich. Taki bowiem tytuł miało owo dzieło. *Wizerunki ziół*



wszelakich. Po prostu czysta poezja. Zupełnie jakbym znalazł się w Hogwarcie. Brakowało jedynie gadającej tiary…

– Można zrobić z tego odbitki – powiedział praktycznie Maciek, a Wielka Wiola aż poczerwieniała z oburzenia.

– Nie można! – krzyknęła. – To mogłoby zniszczyć papier.

– To chociaż porobić zdjęcia. – Maciek nie dawał za wygraną.

– Hm… Nie powinno zaszkodzić.

– Mam dobry aparat – zaoferowała się Pola. – Ale chyba najlepiej przy dziennym świetle.

Rzeczywiście, nad Kuskami zaczęło zmierzchać, a ponad Toporzyskiem pokazał się delikatny, cienki sierp księżyca.

Na Pławach odezwały się żaby. Ich chór słychać było przez otwarte okno.

Była to pora, o której każdy z nas powinien być już w domu. Z nas wszystkich miałem najwięcej swobody, ale Maciek i Franek mieli swoje obowiązki, nawet w czasie wakacji.

– No to do jutra – pożegnaliśmy się z Polą.

Wiedziałem, że stoi w oknie tak jak kiedyś, i na zakręcie, gdzie las przechodził w zagajnik, odwróciłem się i pomachałem do niej. A ona mi odmachała.

– Weź tę próbkę – powiedział Franek do Doroty – i zapytaj prababcię, co tam może być.

Zatrzymaliśmy się obok figury. Sierp księżyca lśnił dokładnie nad jej lewym ramieniem. I wtedy Mariola rzekła cicho:

– Jak się zobaczy nów nad lewym ramieniem, to trzeba wypowiedzieć życzenie.

– Chciałabym – odparła błyskawicznie Dorota – żeby Wiola mogła kupić ten zielnik.

– O, to dobre życzenie – ocenił Franek. – Też bym chciał.

Nagle przypomniałem sobie gładki kamień w cokole figury. Pochyliłem się i poszukałem go w trawie.

– Niech Wielka Wiola kupi ten zielnik – szepnąłem. – Niech się tak stanie.

„Niech się tak stanie” – taką formułę wyczytałem w jednej z książek leżących na stoliku w pokoju Marceli. Moja siostra zapewne używała jej bardzo często, wodząc oczyma za blondasem na hulajnodze.

– Co tam gadasz? – zapytał Maciek.

– Wypowiadam życzenie – odparłem zgodnie z prawdą. – Teraz się okaże, czy się spełni.

Wyszliśmy na drogę do wsi. Światła domów połyskiwały w oddali, a nad nimi zapalały się pierwsze gwiazdy. Najpierw odprowadziliśmy Dorotę. Co prawda twierdziła, że nie boi się ani zwierząt, ani ciemności, ale zawsze istniało niebezpieczeństwo, że napatoczy się pijany ojczym. Nie mam pojęcia, co byśmy w takiej sytuacji zrobili, ale może nie czułby się pewnie? Więc lepiej było zaczekać, aż wejdzie do niewielkiego domku, w którym nie było ubikacji i bieżącej wody. Za to były spokój i szczęście. Wszystko, czego brakowało Dorocie w pięknym murowanym domu.

Dyskretnie patrzyliśmy w drugą stronę, aby nie peszyć Maćka, czule życzącego Dorocie dobrej nocy, i poszliśmy dalej.

Było mi trochę niewygodnie, bo musiałem nieść na barana brata, któremu strasznie chciało się spać.

– Będziesz mnie nieść jak Dobry Pasterz – oświadczył.

No i nie miałem wyjścia.

Franek z Mariolą poszli dalej, a ja wszedłem na nasze podwórko. Dziadek siedział w kuchni nad maszyną do pisania i coś zawzięcie pisał. Domyśliłem się, że pomysł na kryminał musiał dojrzeć w jego głowie i właśnie zaczął go realizować. Był tak pochłonięty pisaniem, że nie usłyszał, jak weszliśmy do domu, ani jak babcia zapytała (z przekąsem), czy zamierzam się przeprowadzić do Bukowca.

Okazało się, że w Kuskach – oddalonych od osiedla leśników o dwa kilometry – deszcz nie był aż tak ulewny, ale grzmiało podobnie.

– Przydał się, nie powiem – stwierdziła na koniec – bo ziemia była już okropnie sucha. Wyobraź sobie… poszłam rzucić okiem na moją grządkę z ziołami i…

– I…?

– Jakiś szkodnik zjadł mi cały lubczyk! Wszystkie młode listki. Nie wyobrażam sobie rosołu bez…

Lubczyk?

W mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Przyprawa hodowana w ogródkach, zwanej inaczej magą, nie tylko nadawała wspaniałego smaku rosołowi, ale – a może przede wszystkim – stosowano ją w celach, że tak powiem, miłosnych. O ile przyjąć, że prawdą jest powiedzonko „przez żołądek do serca", to mogło działać, ale jak dotąd nie zauważyłem, aby O-Wu bywał u nas na obiadach czy podwieczorkach.

– Przykre – westchnąłem. – Ale miejmy nadzieję, że odrośnie.

– No oczywiście, przecież to bylina – przytaknęła babcia.

Idąc do swojego pokoju, zajrzałem na chwilę do Marceli, która – sądząc po smudze światła sączącej się ze szpary pod drzwiami – jeszcze nie spała.

– Marcela – zacząłem bez ogródek – trzeba było zostawić trochę tego… no, wiesz, lubczyku, bo babcia pomstuje, że nie będzie czym przyprawiać rosołu.

Marcela smętnie pokiwała głową.

– No ale co ja mogę…

– Czekać – odparłem. – Cierpliwość zawsze bywa nagrodzona.

– To mam czekać cierpliwie, aż się zestarzeję?

– Do tego czasu zmądrzejesz i znajdziesz sobie nowy obiekt uczuć. Miejmy nadzieję.

Wiem, byłem bezlitosny. Tak nie zachowuje się starszy brat. Ale z drugiej strony, co miałem zrobić? Powiedzieć jej, że któryś tam z rzędu potomek Kotkowskich (tych od czarownicy) ma ją w nosie? I woli jeździć na hulajnodze po lesie? Tak, wszystko świadczyło o tym, że ród Kotkowskich pozbawiony był empatii i uczuć.



Chociaż… babcia Janiakowa była aż nieprzyzwoicie uczuciowa, a Dyro – skoro bezkrytycznie kochał zwariowaną Myszkę – musiał mieć serce.

A może – myślałem – jest tak, że raz na jakiś czas w rodzinie Kotkowskich rodzi się taka czarownica i psuje wszystkim opinię?

– Wiesz co… – powiedziała Marcela, a na jej twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech – ty jesteś świnia, a nie brat.

Spojrzałem na nią surowo, ale nagle moje serce zmiękło. Była taka chudziutka, bezbronna w piżamce w jednorożce, że zrobiło mi się jej po prostu żal.

– Jak udawałeś gostka z miasta – ciągnęła bezlitośnie – to nie pisnęłam ani słówka. Nawet dawałam Mikiemu na lody, żeby cię nie wsypał.

– Posłuchaj – powiedziałem. – To nie tak. Może on nie jest wart tego wszystkiego.

– Jest taki… taki śliczny… – westchnęła.

– I co z tego? Może w środku jest paskudny? Może to narcyz i egoista? Niewart tego nieszczęsnego lubczyku.

Marcela pociągnęła nosem.

– Powiedz mi, jak ty mu chciałaś ten lubczyk zapodać? Zaprosić na rosół?



– Żeby zjadł – chlipnęła.

– I myślisz, że on tak sobie przyjdzie i zje, tak? Wygląda na takiego, co wybrzydza przy jedzeniu.

Marcela skulona na łóżku wyglądała jak kupka nieszczęścia.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Zawsze można zrobić eksperyment.

– To znaczy? – Marcela trochę się ożywiła.

– Po prostu sprawdzimy, czy to działa. To znaczy lubczyk.

– Ale jak?

– Po prostu.

Nagle poczułem się starszym, silnym, opiekuńczym bratem, który nie pozwoli, tak, nie pozwoli, aby jakiś przyjezdny laluś unieszczęśliwił mu siostrę.

– Dam mu to do zjedzenia.

– Ale bez przemocy, proszę…

Usta Marceli wygięły się w podkówkę.

– Nie mam zamiaru wpychać mu tego do gardła! – prychnąłem. – Masz sto procent gwarancji, że to zje. Jutro. To znaczy dzisiaj.

Wskazówki zegara wskazywały minutę po północy.

– Zawsze w ciebie wierzyłam! – zawołała i zawisła mi na szyi.

– Dobrze już, dobrze – mruknąłem, starając się szorstkością pokryć wzruszenie. – A teraz jazda do spania. Bo będziesz wyglądać jak zombie i nie wpadniesz w oko nikomu normalnemu.

Zaczekałem, aż przykryje się kocem i zgasi lampkę.



– I tak w ogóle – dodałem, stając w drzwiach – to dzisiaj księżyc jest w nowiu. Podobno jeśli wypowiesz życzenie… ale tak na poważnie. Zastanów się, czego sobie chcesz naprawdę życzyć. Nie marnuj życzeń na głupoty.

I zamknąłem za sobą drzwi. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Marcela jest mądra…

Może przez ten pełen wrażeń dzień, a może z powodu księżyca, byłem tak nakręcony, że mimo późnej pory nie chciało mi się spać.

No to postanowiłem się nie zmuszać. Ostatecznie miałem wakacje i nie musiałem zrywać się o szóstej, żeby dotrzeć na czas do szkoły. Wziąłem koc, torebkę orzeszków i butelkę smoothie (domowej roboty) i wyszedłem na balkonik. Miałem szczęście, że przypadł mi

właśnie ten pokój z jedną pochyłą ścianą, pod którą stało moje łóżko, i z drewnianym balkonikiem, na tyle dużym, że dało się na nim rozstawić niewielki leżak, a obok niego – stolik.

Usiadłem zatem i zacząłem gapić się w nocne niebo. Po popołudniowej burzy powietrze było ciepłe i świeże, obok balkonu bezszelestnie przelatywały nietoperze, a na niebie migotały gwiazdy. Gwiazdy migotały… także na dole. To znaczy na tle czarnej ściany lasu dostrzegłem kilka niewielkich, migających światełek, które przesuwały się jedno za drugim, zupełnie jakby skrajem lasu szło kilka osób z latarniami. Ale, do diabła, gdzie i po co?

Zamrugałem, ale światełka nie zgasły. Powoli znikały w lesie. Zupełnie jakby kilka osób wybrało się z wizytą… na Bukowiec.

Ciekawe – pomyślałem – czy Pola śpi? Bo jeśli nie, mogłaby to sprawdzić. Wysłałem jej esemesa, ale najwyraźniej już spała.

Siedziałem na balkonie, dopóki nie zacząłem ziewać i zrobiłem się tak senny, że po prostu zasnąłem na leżaku. Noc była ciepła, leżak wygodny – otworzyłem oczy o świcie, kiedy kogut Krzesełkowej zapiał tak donośnie, że zbudziłby umarłego. Zerwałem się na równe nogi i chwilę zastanawiałem się, gdzie jestem.

Wróciłem do pozycji siedzącej i powoli zacząłem odtwarzać wydarzenia ubiegłej nocy. Na dodatek byłem wściekle głodny, burczało mi w brzuchu, a moja wyobraźnia zaczęła podsuwać mi obfite śniadania czekające na mnie w kuchni. Ale było tak wcześnie, że nikt przy